Lwów, 15. Marca. №. 31. Rok 1855.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek*, *Czwartek* i *Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna **6** Złr. półr. **3** Złr. kwartal. **1** Złr. **30** kr. miesięczna **40** kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie **8** Złr.— półrocznie **4** Złr.—kwartalnie **2** Złr. m. k. Ryciny mód kwartal. **1** Złr.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedział. ce za jednorazowe umieszczenie po **3** kr., za następ. po 1½ kr. i za dopłatę 10 kr. stępl. za każdorazwe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*

DZIWO-ŻONA.

Powieść spółczesna

przez

Zygmunta Kaczkowskiego.

Epilog.

(Ciąg dalszy.)

Panią marszałkową spotkał jakiś brzydki skandal uliczny w roku czterdziestym ósmym, po którym natychmiast wyjechała do Rzymu; ale pan Bóg jej nie dozwolił dojechać do tego świętego miejsca. W drodze bowiem w jakiemś szląskiem miasteczku zachorowała obłożnie, podczas choroby okradziono ją ze wszystkiego i to do tego stopnia, że biedna nie miała czem filiżanki rosołu zapłacić, aż się władza tamtejsza ulitowała nad nią i przyjęła ją do miejskiego szpitalu, w którym-to domu w dni kilkanaście potem umarła.

Dla pana Eligijusza rok czterdziesty ósmy także był tak samo fatalnym. Zaraz bowiem po śmierci Adeli wzięto go nielitościwie na języki i już natenczas nie mało szkaradnych rzeczy o nim kursowało po mieście. Później powykrywały się rzeczywiście te i owe niecnoty tego kawalera, z powodu których przyszedł wcale przeciwko swej woli do pojedynku. W pojedynku tym stchórzył nieborak w sposób najszkaradniejszy. Bronili go wprawdzie jego nieliczni przyjaciele wszelkiemi godziwemi i niegodziwemi środkami i już im się zdawało, że opinię publiczną przełamią i zgłuszą: ale nie stało się wedle ich zamiarów. Pan Eligijusz bowiem został niebawem potem zbeszczeszczony publicznie i od wszystkich zacnych ludzi odepchnięty. Zaparli się go wtedy i jego przyjaciele najbliżsi, — jak to zwykle się zdarza u takich przyjaciół, których niecne i samolubne kojarzą dążności, — i to tak głęboko żółć jego dotknęło, że dostał żółtaczki i umarł śmiercią przyrodzoną. Leży na Łyczakowie, kto chce może odwiedzić jego wieczne mieszkanie.

Szłyk żyje do dziś dnia.

— Ależ Kamil, a Edmund, a Hania? — zawołaliśmy niecierpliwie.

— Pomału, — rzekł ksiądz na to, — o Kamilu nic nie wiem do dziś dnia. Jak wyjechał do Paryża natenczas, tak żadnej potem nie dał o sobie wieści. Wiem tylko tyle, iż w roku czterdziestym ósmym był we Włoszech, ale zdaje mi się.... tu ksiądz Augustyn głos zmienił i dodał smutno, — że Kamil już dawno nie żyje! daj Boże tylko, ażeby śmierć jego nie była taką, o jakiej nieraz śnił w swojem szaleństwie....

Milczeliśmy przez chwilę, szanując smutne wspomnienie czcigodnego kapłana, — aż znowu niecierpliwy pan Zygmunt zapytał:

— A cóż się stało z Edmundem?

— Edmund ożenił się z Hanią, — odpowiedział z przyciskiem gospodarz.

— Z Hanią!? — zawołał na to z nietajoną ironią pan Zygmunt, — hrabia Edmund, potomek wojewodów i kasztelanów, hrabia Edmund, marzący świetne dla siebie w narodzie hetmaństwo, hrabia Edmund, prawdziwy karmazyn polski i t o r y angielski, z córką ubogiego emeryta ze Sieniawszczyzny!.... a! przyznam się panu....

— Ot! milczał-byś raczej asindzi, — zawołał na to ksiądz z oburzeniem, — niżeli-byś miał pleść takie niedorzeczności!

A odetchnąwszy cokolwiek i obróciwszy się do mnie, tak dalej mówił:

— Tak jest, Edmund ożenił się z Hanią i niech tam sobie kto mówi, co mu się podoba, ja przecież zawsze utrzymywać będę, że Edmund zrobił najlepszą partyę, jaka być mogła dla niego. Bo najpierwej, trzeba panu wiedzieć, że ożenił się z prawdziwej i najpiękniejszej, jaka być może, miłości. Nie była to miłość owa, w której krwiste serce najgłówniejszą odgrywa rolę, w której wam oczy mdleją z czułości, usta drżą za pocałunkami i w której dreszcz was porywa, gdy wam *zapachną kochanki warkocze*, jak to się działo z Kamilem: ale było to najezyściejsze zespolenie się ducha z duchem, najściślejszy związek myśli i uczuć, najwznioślejsza duchowa harmonja. Miłość taka, czysta jak dusza anioła, spokojna jak sen niemowlęcia, i przytomna jak mąż w doświadczeniach dojrzały, nie jest niczem innem, jak tylko najwyższą duchową sympatyą, — i taka tylko miłość zasługuje na cześć i szacunek, taka tylko miłość nie jest grzeszną ziemską namiętnością i ona tylko może dać pewną rękojmię trwałości i szczęśliwego pożycia. Tak się też stało i z panem Edmundem. Taka miłość, której się stał godnym swoją wytrwałością w zacności i szczerem nawróceniem się na

łono religii, i taka tylko kobieta jak Hania, której się stał godnym swojem podniesieniem się nad towarzyskie przesądy, mogły się stać skutecznem lekarstwem i zbawieniem dla niego. Szczęśliwym też jest dzisiaj, jak nigdy nie był za życia, a czem się stał sam przy tej żonie, czem się stał dom jego, radzę panom na własne obaczyć oczy, bo będzie to wielka dla was nauka.

Tak skończył ks. Augustyn i więcej już nic nie chciał mówić o tym przedmiocie. Zabawiliśmy jeszcze małą godzinkę u niego, przyjmując skromny parafialny posiłek i i rozmawiając o rzeczach innych, — a kiedy powietrze ochłódło, wsiedliśmy na koń i pojechaliśmy do wioski Kamila.

Przed wieczorem jeszcze odwiedziliśmy *Jar pogański!* Prawdziwa to paszcza piekielna ta debra szkaradna. Dzikie i poobrywane jej brzegi, czarne i skaliste, jakiemiś przedpotopowemi chwastami zarośnięte jej wnętrze, chmurna i szumiąca puszcza do koła, ów dąb wypalony nad brzegiem zwieszony i resztki owego fatalnego mostku, gnijące i porozrzucane na wszystkie strony, — wszystko to na nas jakieś przerażające uczyniło wrażenie. Staliśmy tam przez długą chwilę w milczeniu i zamyśleniu, — a kiedy słońce zaszło, i zmrok zaczął zapadać, kiedy nam się zaczęło zdawać, że z wnętrza dębu pokazuje się już wysmukła postać Dziwożony, migająca suknią czerwoną, wieńcami liści zielonych i badylem dziewanny... przeżegnaliśmy się w pokorze i zmówiwszy pacierz za dusze zmarłe, odjechaliśmy stępą prosto ku dworkowi Kamila.

Stary wachmistrz przyjął nas z nieudaną radością.

— *Quintum djabłum* mospanie! do czego to przyszło na świecie! — wołał on do nas, gdyśmy mu opowiedzieli cel naszej podróży, — dawniej się ludzie kochali po same uszy a ani pies o tem nie szczeknął! dziś lada romansik studencki, już też zaraz cały świat mówi o tem, ba! i piszą po książkach! aż też nakoniec przyjeżdzają panicze ze Lwowa, ażeby te miejsca odwiedzać!.... *Quintum djabłum* mospanie, otóż to czasy dzisiejsze! człek przy nich głupieje jak stołowa noga i strzel w łeb, nie wie co mówić.

Pokochaliśmy Szłyka serdecznie, bo był to rzadki w swoim rodzaju egzemplarz, i chociaż wiedzieliśmy o tem, z jaką niecierpliwością nas tam pan Alexy wygląda, przegawędziliśmy z nim cały wieczór, aż do samej północy. Staruszek postawił nam parę gąsiorków starego miodu, po którego pierwszej kropelce poznaliśmy, że nam młodym wcale nie pójdzie na zdrowie, ale pomimo to dotrzymywaliśmy z rezygnacyą, bo stary żołnierz przewyborne opowiadał nam rzeczy. Pan Alexy już chrapał tak, że wszystkie okna się trzęsły w jego sypialni, kiedyśmy zmęczeni i podróżą, i wrażeniami dnia tego, i bezsennością, zajechali kłusem przed ganek jego pałacu.

W parę dni potem wybraliśmy się z wizytą do Edmunda. Wjechawszy w granice jego majątku, owionęło nas zaraz jakby jakieś inne powietrze, a tymczasem nie było to nic innego, tylko ów piękny, wypracowany porządek we wszystkiem, który się tak rzadko daje widzieć w naszych szlacheckich majątkach. Kto u nas bije wszędzie przy drogach ładne, kamienne słupy graniczne, kto drogi swoje utrzymuje w nieustannym porządku, kto stawia mosty szerokie, mocne i z silną a kształtną poręczą, kto okopuje i zaokrągla lasy, ażeby je i ubespieczyć i upięknić zarazem, kto wycina niekształtne i niepotrzebne po polach zarosty, kto reguluje pola orne, użyźnia łąki i w ogóle mówiąc, całe swoje obszary tak obrabia i utrzymuje, ażeby przy najwyższym pożytku najwyższą możliwą przedstawiały piękność? A wszystko to przecież po części już poczynione a po części zamierzone było na obszarach własności Edmunda.

Pałac jego uderzył nas swoim ogromem ale także i przepychem, niestósownym może do rozległości majątku i czasów dzisiejszych; ale nie dziwiliśmy się temu, wiedzieliśmy bowiem, że był restaurowany i urządzony dla łakomej przepychu Adeli. Ogród ogromny rozlegał się z dwóch stron, ale poczyniono w nim znaczne odmiany, którym przypatrzywszy się bliżej, poznaliśmy, iż je przedsiębrano w celu zmniejszenia kosztów na porządne utrzymanie tak rozległego parku. To jeszcze lepsze na nas uczyniło wrażenie, bo przekonaliśmy się stąd, że duch Edmunda spokorniał wedle potrzeby i nie szedł już w zawody z niezwalczoną niemożnością.

Rodzinę całą hrabiego zastaliśmy w wielkim salonie, który miał jedną ścianę szklanną, wychodzącą na taras. Była to pora przedwieczornej herbaty i wszyscy byli zgromadzeni około wielkiego stołu, zastawionego eleganckiem nakryciem. Hanię poznaliśmy zaraz. Blondynka, rysów regularnych, nie bardzo piękna ale miała ten wyraz anielskiej dobroci i łagodności tak żywo odmalowany w twarzy, żeśmy niemogli go sobie nie przymomnieć z opisu. Była ona ubrana w jakiś skromny letni szlafroczek, czepeczek tiulowy z niebieskiemi wstążkami miała na głowie, siedziała na pojedynczem krzesełku za stołem i trzymając tłustego dwuletniego chłopaczka na kolanach, pieściła się z nim, karmiąc go w mleku rozwilżonym sucharkiem.

O dwa kroki od niej siedziała w krześle jakaś jejmość wiekowa, jakeśmy się dowiedzieli później, bona francuska, a o kilka kroków dalej stała dziewczyna wiejska, czyściutko i bielutko ubrana, to znów była piastunka, za drzwiami może tam stała jeszcze jaka trzecia sługa tego malutkiego panicza: ale i to-by było nie dziwno. Jedyny to i całem sercem ukochany potomek Edmunda, na którego czekał tak długo!

Po drugiej stronie hrabiny siedział w głębokim fotelu siwowłosy staruszek. Miał on ciemno-szaraczkowy kontusz i liliowy, wełniany żupan na sobie; pasem był opasany skó-

rzanym ze śrebrną klamrą, czapkę czarną rogatą z kasztanowatym barankiem trzymał na kolanach, — a po jego otwartej, poczciwej twarzy, po uszanowaniu, w jakiem się zachowywał i po kresie na twarzy, niegdyś w obronie honoru pańskiego otrzymanej, poznaliśmy natychmiast, że to nie był kto inny, tylko Burka-Biliński.

Za Burką siedział ksiądz świecki, sprowadzony ze Lwowa na domowego kapelana.

Naprzeciw żony siedział Edmund, — lecz jego żaden z nas nie był-by potrafił poznać za pierwszem wejrzeniem. Bo chociaż on był, tak jak go nam opisano, słusznego wzrostu, szlachetnej i niby trochę pozującej postawy, twarzy pociągłej i zawsze pięknej, toż jednak bardzo go odmieniły włosy, które się jasną okryły szpakowacizną, twarz znacznie zwiędła i zapadnięta, oczy znacznie przygasłe a nawet i barki trochę przygarbione, jeżeli o nich zapomniał. Trzydzieści i siedm lat mu dopiero minęło, a już tak bardzo postarzał się ten człowiek! Ale też za to tak samo spoważniał duch jego i rozum dojrzał w tym samym stosunku, i nic już w nim nie było takiego, co-by niepozwoliło o nim powiedzieć, że bardzo wcześnie i wielkim pędem od razu puścił się w drogę żywota i już w połowie tej drogi zdobył wszystkie wawrzyny starości. Wszakże przypatrzywszy się bliżej jego na pół zgrzybiałej twarzy, widać było, że tę starość przedwczesną miał bardzo szczęśliwą. Oczy dziwnie łagodne i miłe, czoło spokojne, usta okrążone uśmiechem, owoż główny wyraz tej twarzy, któren tylko czasem i to na bardzo krótką chwilę się zmieniał, zasłaniając się jakąś przelatującą falą zapomnianego uczucia, — tak jak słońce lipcowe, pełne jednostajnych promieni, które przecież czasem jakaś zabłąkana wiosenna chmurka na chwilę zasłoni.

Kiedyśmy weszli, Edmund wstał z miejsca i powitał nas bez żadnej wrzaskliwej serdecznej, ani wrzaskliwej udanej radości, ale z ową otwartą i wymowną uprzejmością, w której się zarazem przebija i staropolska gościnność i świata znajomość, a której, tak jak osobistej odwagi, nikt nie potrafi udawać. Był on już uprzedzony o nas i naszem przybyciu i natychmiast prezentował nas żonie. Hrabina przyjęła nas wprawdzie nie tym obyczajem, jakim by nas była przyjęła elegancka Adela, ale pomimo to nie widzieliśmy wcale, dlaczego się niegdyś obawiała, że nie będzie umiała godnie gości Edmunda przyjmować. Owszem w przyjęciu jej widzieliśmy ową naturalną, umiarkowaną, poważną a przecie tak grzeczną uprzejmość, która cechowała dawne nasze prababki a która nam zawsze stokroć jest milszą, niżeli najzgrabniejsze salonowe maniery, pełne najsubtelniejszych grzeczności i najwymowniejszych frazesów, ale zarazem pełne takiego lodowatego chłodu, że można zmarznąć i oniemieć od niego.

Zasiedliśmy do herbaty i rozmawialiśmy — oczewiście o Lwowie. Rozmowa szła bardzo wesoło, Edmund rzucał nam bardzo trafne porównania Lwowa z innemi miastami, Hania opowiadała jak bardzo jest przywiązaną do tego miasta i jak jej żal tego domku ubożuchnego, w którym się wychowała a z którego teraz tylko grunt pusty pozostał, — aż nakoniec pan Zygmunt, który właśnie podówczas wybierał się na dłuższy czas za granicę i niedbał o łaskę Lwowa, rzucił parę dowcipnych anatematów na to miasto, które wszystkich do głośnego pobudziły śmiechu i spowodowały Edmunda, że mu odpowiedział na to:

— Tak to niegdyś było i ze mną. I jam wymyślał na Lwów i na inne miasta a nawet czasami i na całe prowincye, bo mi się zdawało, że w nich to złe siedzi, które mi dokuczało.... ale dzisiaj wiem już dobrze, gdzie to złe było i dla tego jestem zdania, że pod względem moralnym nie masz wielkiej różnicy pomiędzy miastami.

Ale kiedy słów tych domawiał, na które pan Zygmunt już miał gotową odpowiedź: wszedł kozak ubrany w barwie Edmunda i położył na stole pakę gazet i listów. Edmund przejrzał adresy listów i jeden z nich oddał żonie, mówiąc:

— Ze Lwowa, zdaje mi się, że od twojego ojca.

Hania otworzyła i poczęła czytać, ale śród czytania oczy jej zaczęły coraz prędzej przebiegać wiersze, twarz jej zaczęła się mienić, aż nagle wybuchnęła w płacz głośny, zasłaniając sobie zarazem obydwiema rękami oczy. W tym napadzie boleści Hania zapomniała o tem, że dziecko trzymała na kolanach. Jakoż to dziecko zsunęło się jej natychmiast z kolan i było-by się najszkaradniej potłukło albo może zgoła zabiło, gdyby nie to, że pan Zygmunt, zawsze przytomny i dosyć zręczny, pochwycił je już przy samej ziemi i szczęśliwie od wszelkiego szwanku uchronił. Ale wypadek ten po raz wtóry przestraszył i Hanię i nas wszystkich, śród którego przestrachu wszakże matka najpierwsza powróciła do przytomności i porwawszy dziecię z rąk gościa, z głośnym płaczem lecz przytem z szczególniejszym wyrazem zaczęła je ściskać i całować. Myśmy wszyscy stali jak osłupieni a tymczasem Hania z dzieckiem, z boną i piastunką, zawsze głośno szlochając, zniknęła z salonu. (D. n.)

Do pamiętnika H. W.

Niechaj mówią, co chcą starzy,
Że ci młodość nie do twarzy,
Że wąż czyha między kwiatem,
Niewierz dziewczę! to oszczerce,
Zbłąkać radziby twe serce,
I poróżnić z pięknym światem.

Starym zbiegłej żal młodości,
Przeto ganią ze zazdrości

Kwietną, jasną wiosnę naszą,
Ą niemogąc łódź od brzegu
Do chyżego trącić biegu,
Zostać radzą, burzą straszą!

Co tam burze, niespokoje!
Wichry, słoty! gdy nas dwoje
Wraz na pełne spłyniem morze!
Niebo ciągiem się niechmurzy,
Toż i w naszej tej podróży
W końcu błysną jasne zorze!

B.... B...

Tomira.

Misteryum przez Deotymę.

(Dokończenie.)

Takie to w treści swej proste, ludowe podanie zasnuła Deotyma w szaty ciemnej alegoryi. Chciejmy ją rozwiązać według naszego zrozumienia rzeczy.

Wiara chrześcijańska w dalszym okresie swego rozwoju jako czynnik dodatni, nie wydziela się z dołu jak każda prawda w porodzie swym ujemna i negacyjna, ale rozpościera się z góry, jako potęga dojrzała, organizująca. To też przedstawicielami tej żrzałej potęgi i w pełni jaśniejącego światła nowego zakonu są pierwsi społeczeństwa swego mężowie, król polski i królewicz Węgier.

Wieczną negacyą prawd objawionych, skazaną na wieczny negacyi swojej pomnik jest wieczny tułacz — Ahasver. Mistyczna jego postać występuje koniecznym cieniem obok zapalonych świateł światłości i uwydatnia blask ich bóstwa. Obok pokory i ciszy ducha chrześcijańskiego uosabia ta postać wieczny niepokój i trud rozumów ziemskich, wieczny bez celu ruch i wieczną a nadaremną pracę ku poznaniu wszech ostateczności i wiedzy bezwzględnej. Lecz owej żądzy ustawicznego przeczenia towarzyszą nieukojone niczem namiętności serca, wiecznie pragnącego. Pod łagodnym promieniem wiary wzrastają owe namiętności w kwiaty rozkosz, nieujęte formą prawa bożego stają się ogniem i czynią piekło na ziemi.

W śród tych dwóch potęg siebie wzajem ścierających rzuciła poetka wątłą kobiecą postać w pełni kwiatu i niewinności anielskiej. Przyciągana od przeciwległych sobie dwóch duchów olbrzymich, chwieje się jak wątła roślina, i grzeszy nadmiarem uczucia. Jak niegdyś jej serce zranione było powodem, że duch jej przejrzał, i tradycyjnej wierze ojców złorzeczył, tak teraz toż samo serce, ujęte współczuciem dla nieszczęśliwego tułacza, staje się przyczyną powtórnej ducha ślepoty i obłąkania. Serce i kamień, to znowu dwa sobie przeciwstawione wyobrażenia, a więc karą grzeszącego serca jest, że się staje kamieniem. Mimo to nie ustaje w skamieniałej postaci życie, ale nieotchnione ciepłem bijącego serca, jest życiem żółwia, które mozolnie i z wytrwałością dobijać się musi mety ostatecznej. A to serce skamieniało w tedy, gdy myślący duch chciał usiąść na tronie wiedzy i poznania, zostawiając objawienie na boku! —

Jestto dopiero pierwszy rozkład tych alegorycznych postaci poematu. Idąc wyżej i biorąc rzeczy subtelniej zaszli-byśmy w dalsze okresy rozsnucia tych alegoryj, a zestawiając uosobione najsubtelniejszej abstrakcyi pojęcia, znaleźlibyśmy się na owej drodze, po której idąc komentatorowie poetów alegorycznych, popisali księgi, stokroć poemata przewyższające. Niechcemy atoli czynić tego, bo to-by przeszło zakres pisma, a dla czytelnika byłoby bez pożytku. Z resztą rozwiązana alegorya traci wszelki urok, jak lalka obdarta z szat zewnętrznych, bo jej zadaniem jest łudzić i prowadzić na domysły, a nigdy nagiej swej istoty nie okazać. Zasługą każdego mistycyzmu jest sama mistyka; odgadniona i rozwiązana staje się bez treści a częstokroć i bez sensu. Mistyczność w poezyi, jest to, że się tak wyrażę, wielkie inkognito ducha i talentu piszącego; udaje on dopóty przed gawiedzią bogactwo i dostatek, póki nie wykryje się prawdziwe jego pochodzenie, a jego mienie należycie ocenionem nie zostanie. Schwytany na bankructwie zamilknie, jak ich wielu śród rozpoczętego zawodu zamilkło.

Szaty mistycyzmu mają wprawdzie wielki urok, i używane bywają nieraz z wielką korzyścią w różnych okolicznościach życia społeczeńskiego. Sama Deotyma uznaje potęgę takiego uroku:

Ach jest istota nieokreślona
Duch co w swe koło ziemian pochwyca!
Uroku jego nikt nie pokona
Bo tym urokiem jest tajemnica!

Tajemniczość atoli raz wykryta traci wszelką ponętę; nieodgadnioną porzuca się jako zabawkę która nas męczy.

Dotąd wszakże uważaliśmy, że choroba mistycyzmu pojawiała się u poetów, w ostatnim prawie okresie ich talentu, zanim nastąpiła zupełna śmierć ducha. Były to sny gorączkowe, konwulsye ducha w przededniu śmierci, resztki sił odumierających, ostatniem wysileniem do życia rozbudzonych. Lecz skoro największy nasz mistyk-poeta okazał, że i w pełni życia wieszczego można świetnie zacząć i niemniej świetnie skończyć samą mistyką, zaraz wkroczyło mnóstwo młodych talentów w ślady jego, a literaturę narodową zarzucono samemi wieszczeniami i proroctwami, chorobliwemi alegoryami, jakoby w narodzie już niebyło ni sił ni zdrowia. Tak atoli nie jest, a wielki nasz Psalmista tę ma ujemną stronę, że małych po sobie zostawił naśladowców. To też utwory podobne przemykają przez scenę żywota naszego, jak widma upiorowe, ledwie dojrzane, a już zapomniane, a żadna z takich książek nie doczekała się drugiego wydania. I występ tych poetów nie

powtórzył się więcej, a cała ich postać odumarła z wieńcem nieskalanej dziewiczości, na który nie targnęło się żadne pióro krytyka.

Taką to skłonność do mistycyzmu przyganiliśmy już raz Deotymie. Z nami mniej więcej wszyscy o niej piszący tego samego byli zdania. Nawet najprzyjaźniejszy we wszystkich innycn względach jej talentowi pisarz, Z. Kaczkowski, z niesmakiem wyraża się o tym kierunku, a jeźli jeszcze w nim tego, co inni, nie widzi niebezpieczeństwa, czyni to z zręcznie obmyślanej a jeszcze zręczniej przeprowadzonej strategii, stawając jej najprzód straszne widma takiego obłąkanego ducha przed oczy, a w końcu pociesza przestraszoną poetkę, że taką nie jest, i że taką (jak się spodziewa) nigdy niebędzie. Pisał on to przed okazaniem się Tomiry. Dziwnie piękny jest ten jego obrazek zbłąkanego ducha, abyśmy go tutaj nie przytoczyli:

„Wszakże nie wiele-to jeszcze lat temu, kiedyśmy wszyscy, młodzi duszą i sercem, ubrawszy się w szaty śnieżnej białości, rozpuściwszy włosy w powietrze, z twarzami od ziemskich smutków blademi, z harfami nastrojonemi w chorały i hymny, uciekli duszą z tej ziemi i lecieli prosto w owe światy duchowe, myśląc że nas światła dróg mlecznych nie zmylą.

Że wraz z ich blaskiem będziem się podnosić,
Jako harmonii lekkiej głos bez końca,
Ze słońc na wielkie słońca i nad słońca.

I długo trwała ta nasza wędrówka. A kiedyśmy się po leciech kilku oglądneli pomiędzy sobą, tośmy poznali z żalem, że wielu z nas utonęło w tych eterycznych sferach na zawsze. Ich dusze już nigdy nie powróciły na ziemię, — a ich poetyckie postacie widzieliśmy leżące na szczytach gór wzniosłych, wybladłe, jak ich szaty śnieżyste, martwe, jak pozrzucane z niebios posągi, z oczyma, wpatrzonemi nieruchomie w błękity, z rękami zawiązanemi na czole, z harfami podruzgotanemi u boku. Straszliwe mumije wieszczów, zbłąkanych w niebie, nierozumianych na ziemi!

Inni powrócili jeszcze zawczasu na ziemię. I otrzeźwiwszy się prędko z porozdmuchiwanych w mgły natchnień i usypiających snem tęczowym upojeń, poznali niebawem, że przeciągnęli strunę nadziemską w swej harfie i na jej złudliwych tonach wzlecieli pomimo swej woli tam, gdzie już wszelka ziemskość ustaje a jeszcze się wcale nie zaczyna niebiańskość. I jakaż-to była sfera? — Oto sfera czystego eteru, sfera nihilizmu, nicości.

Sfera-to straszna dla wieszczów, — jak wiekuiste nicestwo dla ducha, — jak dozgonne więzienie, zakończone śmiercią głodową, dla ciała! — A do tej sfery wnijście otwiera łudzący swoim syrenim głosem, arcy-niebezpieczny mistycyzm.«

Przytoczyliśmy ten piękny ustęp znakomitego naszego pisarza, aby młodym, poczynającym talentom dać przestrogę przed owym złudnym kierunkiem, powtarzając wraz z nim ku zachęceniu szukania nowych dróg i postaci: wszyscyśmy, młodzi duszem i sercem, uciekli duszą z tej ziemi, lecąc prosto w światy duchowe, a wielu poginęło z nas, a jeszcze więcej zapadło na zdrowiu ducha i ochroniało na zawsze!...

Ma wszakże i naród nasz rodzimą swoją mistykę, i on osnuwa wyobrażenia swoje w szaty różnych alegoryi, ale utwory te są zdrowe, plastyczne, wykonane w obrazach prostych, pełnych jednak wzniosłości i artystycznego wykończenia. Po mistrzowsku pochwycił ten kierunek mistycyzmu narodowego Teofil Lenartowicz, i oddał go w tej samej prostocie patryarchalnej, w jakiej on w duchu narodu przebywa. Nie zacienia on go nigdzie nagmatwaniem subtelności scholastycznych, a każdy kształt jego myśli jest tak plastyczny i namacalny, że go tylko w marmurze wyciosać. A przecież dźwięczy i u niego struna mistycyzmu i on chętnie podejmuje wyrobione postacie rozumu abstrakcyjnego i rozsnuwa na nich pojęcia alegoryczne, ale czyni to w taki sposób, że tej abstrakcyi, najniebezpieczniejszej każdej poezyi, zaledwo dopatrzeć się można. Jak cudnie opiewa on podjętą mytę ludu, a z jaką usilnością stara się podobny temat zaciemnić, światło i koloryt przygasić, okazując przez szkła zwodnicze mgliste swoje obrazy mistyk-poeta! Kraina jego żywota jest pół-cień i pół-światło, a do najsilniejszych efektów używa dwoch świateł, oko ludzkie w pierwszej chwili wielce nęcących. Lecz efekt taki stosowny więcej do dekoracyi teatralnych, niżeli do dzieł nieśmiertelnego ducha ludzkiego.

Więc mimo wszelkiego naszego podziwienia, jakie mamy dla tak znakomitego talentu fenomenalnej naszej poetki, nie możemy powstrzymać słusznego naszego zarzutu co do jej prawdziwie scholastycznej mistyki i nie zrozumiałej skłonności do rozumu abstrakcyjnego. Jeżeli zaś ktoś w obronie tego abstrakcyjnego rozumu staje, to już pewnie przyzna, że jakkolwiek dla powszechnej narodu oświaty jest on nieszkodliwym, jest nim atoli dla każdej poezyi, a nie pojętym nawet w poezyi dziewicy-poetki. Rozum bowiem abstrakcyjny może być wielką zasługą każdego myślącego, dla poety jednak jest on najzupełniejszem jego bankructwem. Tego wszakże nie możemy do Deotymy zastósować; abstrakcyjny jej rozum nie jest wyrosłym pasożytem na obalonem drzewie poezyi, ale ciernistą gałęzią, którą dobrowolnie i z rozmysłem obwija postać swego ducha, jak niegdyś pustelnik-asceta okręcał członki ciała swego ostremi kolcami najeżoną przepaską ku przygnębieniu chęci i myśli grzesznej. Bezwzględna atoli wolność ducha jest pierwszą każdej poezyi warunkiem. Skrępowany formą dogmatów, karłowacieje, a wtedy pozwala każdej formie dominować nad sobą, jak się to działo w czasach nauk scholastycznych, które wydały Dante-

go, Petrarkę i innych pod brzemieniem alegoryi i formy niewolniczo wyrosłych duchów-olbrzymów.

Dziwić się tylko wypada, z kąd w utworach Deotymy w rzeczach wiary bierze się tyle abstrakcyjnego rozumu, jeźli go w naszym tak czysto chrześciańskim narodzie niema. Ani śladu nie dojrzeć, aby u nas kiedy ten rozum subtelny występywał obok dogmatów wiary, i je w swoje świeckie szaty odziewał. Naród nasz wierzył i mocno wierzył, a pycha dobijania się prawd na drodze subtelności scholastycznych była mu zawsze obcą. To zaś co się niekiedy pojawiło, nie było rodzimem, ale wniesione prądem oświaty ówczesnej.

Minęły bowiem owe wieki, gdzie rozumem abstrakcyjnym chciano dogmata prawdy objawionej wyświecić. Popisano ogromne księgi, poczyniono najdziwaczniejsze alegorye, pobudowano z pajęczej tkanki olbrzymie systemata, a wszystko nie wytrzymało wagi czasu: lub zostało nietknięte na uboczu, prócz jednej księgi, napisanej z największą prostotą, ewangelii...

Te same obawy względem poetyckiego kierunku Deotymy wyrzekliśmy przed rokiem. I dzisiaj powtarzamy je, widząc jasno, jak wiele przez to traci nasza genialna poetka. W jej poezyi już jest mniej obrazowości, mniej liryki, a natomiast rozszerzają się co raz więcej mgły mistycyzmu i subtelności rozumu abstrakcyjnego. Jeżeli ktoś o niej wyrzekł, że w poglądzie na świat jest ową, nad wodami potopu błądzącą gołębicą z arki Noego, to możemy mieć nadzieję, że ją przecie kiedyś ujrzemy, powracającą z zieloną gałązką, uszczkniętą z drzewa ziemi, dotąd przed jej wzrokiem zatopionej.

Jan Zachariasiewicz.

SZKOŁA PODCHORĄŻYCH JAZDY.

(Ciąg dalszy)

Przez długi bardzo czas mieli kolegę zabaw, bardzo ulubionego, którego towarzystwo straciło w sposób komiczno-tragiczny. Kolegą tym był młody niedźwiedź, którego jakiś podchorąży z Litwy rodem, przywiózł z sobą, i dał pułkownikowi w prezencie. Wychowany od małego w koszarach, *Misio* polubił swoich pustych kolegów, i rad wdawał się z nimi w różne zabawy, które nieodbywały się wszakże bez obopólnych psot i psikusów. Bo jeżeli go nieraz koleżkowie uderzyli, za ogon lub uszy pociągnęli, on nawzajem niejednego z wielkiego przywiązania pogłaskał należycie pazurem po gładkiej twarzy, a nawet czasem w nocy wkradł się przez otwarte okno do sali, i milczkiem zakwaterował się w próżne łóżko, co nieraz sprawiło niezbyt miłą niespodziankę wracającemu z warty i żądnemu spocząć na łóżku, ile że w takich razach Misio bywał zły, mrukliwy i uparty.

Owoż czułe to koleżeństwo zerwało się w taki sposób: Po obiedzie wysypali się młodzi i wybiegli do Misia, który na dzień spuszczany z łańcucha przywitał kolegów wesołemi skokami. Zabawa odbywała się przy piwnicy, przed którą stały próżne beczki z piwa, bo nawiasem powiedziawszy dawano panom podchorążym piwo do obiadu i śniadania, ale pożal się boże, było to piwo, nazwiskiem tylko danem mu i nakazanem urzędownie. Owoż tego dnia Misio zaczął się bawić w chowanego, i co chwila, krył się po za te rozstawiane beczki. Miał zaś na szyi obróżę z łańcuchem, na końcu którego był werblik do przypinania go na noc służący. Któremuś z podchorążych przychodzi pusta myśl zabawić się z Misiem, wpuścił nieznacznie ten werblik do szpontu od próżnej beczki, i napędził go. Misio w najlepszej wierze skoczył sobie i oczywiście beczkę pociągnął za sobą. Z początku bawiło go to, nuż więc podskakiwać, a beczka za nim. Lecz gdy równocześnie z temi szalonemi podskokami, beczka próżna zaczęła głuchym odzywać się łoskotem, Misia przejął strach. A więc Misio w nogi, beczka za nim, coraz więcej hałaśliwa, coraz więcej trwożąca biednego niedźwiedzia. Przepłoszony niepospolicie wpada Misio do stajni otwartej między konie z beczką i jej łoskotem. Tu dopiero zaczął się gwałt i rwetes, bo się konie mocno przestraszyły słysząc taki hurkot niezwyczajny. Nuż więc chrapać, parskać, rwać się i wierzgać, co wszystko Misia zbijało do reszty z kontenansu. A więc zaczął umykać popod konie i żłoby z coraz większym pospiechem, i hukiem jeszcze potężniejszym. Konie przerażone, ostatnich dobywając sił, urywają się, łamią żłoby i drabiny, i zaczyna się w stajni zamieszanie nie do opisania. Sądny to był dzień, bo nikt rady dać nie mógł, ani służbowy, ani żołnierze, którzy w najwyższej biegali rozpaczy, jak opętani, po stajni, i w żaden sposób rady sobie dać nie mogli. Aż przecie los zmiłował się nad Misiem, obręcze popękały, beczka rozleciała się, i Misio z jedną tylko klepką przy łańcuchu zaczepioną, przestraszony i pobity, wcisnął się po za kadź od wody. Służbowy doniósł to pułkownikowi z dodatkiem łaskawem, że to Misio sam werblik wsadził do beczki.

Pułkownik uśmiechnął się, ale znać nie uwierzył, bo wrzasnął zaraz:

— Milionkroćstotysięcy!.

Trzeba zaś wiedzieć, że milionkroćstotysięcy było przysłowie ulubione Czarnomskiego.

— To sztuczka podchorążych! wołał dalej. Znam ja ich milionkroćstotysięcy! Bo to próżniaki, a butne! a cały dzień próżnują, i łażą po dziedzińcu z fajkami. Jeszcze mi do milionset koszary zapalą. Ja muszę skasować te fajki. Powiedz kapitan wszystkim oficerom, aby powiedzieli podkomędnym swoim, że każdemu, który nie ma pięciu lat służby, niewolno fajki palić, do milionset.. A tego niedźwiedzia odesłać do jenerała Załuskiego do Łowicza, tam mu będzie lepiej.

I takim to sposobem rozstali się podchorążowie z Misiem, który wyruszył z koszar, żałowany powszechnie, i sam zafrasowany niepomału.

Mówiliśmy o objedzie i śniadaniu; bo podchorążowie te dwa tylko przez dzień dostawali jedzenia, które chociaż faktycznie nie były złe, rozmaicie były przez młodych obmawiane. Barszcz z wieprzowiną odgrywał główną rolę przy obiadach, i do niego niemieli oczywiście pretensyi, ale na drugie danie często przychodziła kasza z podlejszych krup perłowych. Tą młodzież przezwała ś r ó t e m, i póki trwała szkoła podchorążych wszyscy rozumieli znaczenie śrótu. Lecz i ta kasza nieszła bezużytecznie, bo niektórzy z podchorążych wyuczyli konie swoje do tego śrótu, i zwykle wynosili go im wraz z chlebem i solą.

Najtrudniejszą rzeczą było dla podchorążych dostać pozwolenie do wyjścia z koszar na miasto, i na to najwięcej się skarżyli, i za największą uważali niewolę, chociaż biorąc rzeczy po słuszności, rygor ten był konieczny z młodzieżą butną, swawolną, która raz wypuszczona bujała jak szalona po mieście. Porządek w tej mierze był taki: W wigilią wyjścia trzeba się było podać do raportu, poczem następowało pozwolenie, lub zakaz. Lecz i w sam dzień wyjścia były formalności, utrudzające to wyjście niepospolicie. Przy wyjściu bowiem odbywała się lustracya i sal z których wychodzili podchorążowie, i druga czysto osobista.

Taki który nie wyszedł już z koszar nie był pewnym swego, bo jeżeli przy następujących pokazało się co nie po formie zatrzymywano wszystkich, a jeżeli nawet kilku już wyszło, a reszta zatrzymanymi zostali, na przyszłą niedzielę, aby i tych co wyszli kara nie minęła, niewypuszczono żadnego.

Rygor ten jak mówiliśmy w stanie wojskowym mianowicie jakkolwiek przykrym mógł się wydawać, był poniekąd słusznym; lecz to najwięcej oburzało, że pomiędzy podchorążymi do szkoły należącymi byli zawsze protegowani, którzy na osobnych kwaterach wewnątrz a nawet zewnątrz mieszkali, i wolni byli od wszystkich drobiazgowych wymagań.

Jednem słowem to utrudzenie wyjścia uważała młodzież za niesprawiedliwość, za niewolę, a więc jak to między młodymi za zwyczaj bywa, opierali się oni temu wszelkiemi siłami, i niemogąc jawnie, ukradkiem wychodzili po nocach, sadząc się na rozmaite w tej mierze dowcipy, z czego powstawały nieraz najpocieszniejsze zdarzenia.

Niebyło okienka dosyć ciasnego, zacząwszy od luftów stajennych przez które siano nakładano, którem by niewymykała się młodzież po nocy. Chudsi oczywistą mieli korzyść, a otylszym nieraz się zdarzyło że biedaki ugrzązli, i z niemałem natężeniem kolegów, a uszczerbkiem sukni i skóry dostawali się nazad.

(C. d. n.)

Fundacyja Jana Maciąga.

Najważniejszym punktem testamentu ś. p. Jana Maciąga o którym wspominaliśmy w Nrze 29. dziennika naszego, jest niezaprzeczenie legat jaki uczynił dla obu zakładów agronomicznych, Lwowskiego i Krakowskiego po dziesięć tysięcy ryńskich w monecie. Przeznaczenie mianowicie tego legatu zwrócone jest szczególnie ku rzetelnemu i praktycznemu pożytkowi, i daje wielce charakterystyczne wyobrażenie o sercu i umyśle zmarłego.

Syn prostego włośaianina nie tylko nie zapiera się niskiego pochodzenia swego, co się najczęściej w naszych dzieje czasach, ale przeciwnie z bezprzesadną szczerością a prostotą przyznaje się do tego, i kończąc życie, ostatnią wolą swoją chciałby jeszcze ofiarą całego majątku swego, pracą i oszczędnością zebranego, przyłożyć się do polepszenia, o ile to w jego jest mocy, bytu tych włościan, z pomiędzy których wyszedł, i których nie zapomniał, choć się sam wyniósł na wyższe społeczne stanowisko. Jest to piękny zaiste i godny naśladowania przykład, dający miarę szlachetności zmarłego, i który zdaniem naszem przy dzisiejszych właśnie stosunkach w sam czas przyszedł, by zbawienne zrobił wrażenie na umysłach naszych włościan i niewłościan. Niemożemy przy tej sposobności pominąć jednego rysu charakterystycznego, który doskonale maluje zmarłego. Chcąc dobitniej wykazać i utrwalić w pamięci pochodzenie swoje z mazurskich włościan, osobnym punktem testamentu wskazuje prawdziwą pisownię swojego czysto mazurskiego nazwiska, i występuje naprzeciw przekręcaniu nazwiska swego w obcej pisowni, w której dla braku naszego *ą* nazywano go: Maciong.

Owóż legując jak mówiliśmy te dwadzieścia tysięcy reńskich, osobnym aktem fundacyi, postanawia, aby z tych legatów utworzone były cztery stypendyja, po dwa przy każdem z rzeczonych zakładów agronomicznych, jedno na 300 złr. drugie na 200 złr. Stypendyja te przeznaczone dla uczniów celujących przy obu szkołach agronomicznych.

Na samym wstępie aktu tego wykłada prosto i praktycznie powody takiego legatu przeznaczenia. Powiada bowiem, jako jest przekonany że rolnictwo w kraju naszym czysto rolniczym główną stanowi podstawę dobrego bytu krajowego, że rolnictwo to u nas dotąd na niskim jeszcze stoi stopniu; zważywszy tedy jak konieczne jest umiejętne wykształcenie w tym zawodzie mianowicie dla włościan naszych przykutych do roli, i z tej roli żyjących, postanawia ofiarować część najznaczniejszą majątku na ten cel pożyteczny.

A że sam włościanina syn, życzy sobie by dobrodziejstwa tej fundacyi o ile można spadły na włościan, w dalszych punktach daje pierwszeństwo włościaninom do uzyskania stypendyów. I to w ten sposób. Ogólne prawo ubiegania się o te stypendyja przysługuje młodzieży katolickiej krajowej, to jest urodzonej w Galicyi lub księztwie krakowskiem z ojca w Galicyi lub księztwie krakowskiem urodzonego. Przedewszystkiem zatem dąży do tego, aby z dobrodziejstwa tego korzystać mogli sami krajowcy.

Pierwszeństwo daje naprzód krewnym swoim, to jest potomkom czterech braci swoich Andrzeja, Walentego, Stanisława i Wojciecha, i siostry Agnieszki Zubowej. W braku tychże, pierwszeństwo mieć mają synowie włościańscy, ile że (jak się sam wyraża) zamierza on przedewszystkiem rozszerzenie wyższych wiadomości agronomicznych między klasą włościańską.

Kuratorem tej fundacyi ustanawia p. Franciszka Smolkę adwokata lwowskiego, przy czem z szlachetną szczerotą rzadką u ludzi którzy tak trudno zapierają się miłości własnej, przyznaje że temuż p: Smolce zawdzięcza podanie myśli do zrobienia tej fundacyi. Temuż kuratorowi nadaje prawo mianowania następcy, lokowania tych funduszów, i nawet w razie potrzeby, zmienienia gdyby taka wypadła konieczność punktów tej fundacyi, i samej fundacyi, pod warun-

kiem wszakże, aby głównym celem fundacyi pozostało rozszerzenie wyższych wiadomości agronomicznych w kraju naszym.

W innych punktach zwraca uwagę na jak może być najpewniejsze i najkorzystniejsze lokowanie legowanych kapitałów, zarząd co do rozdawania stypendyów porucza dyrekcyom zakładów agronomicznych i kuratorowi, i wreszcie objawia życzenie swoje by fundacyja ta nosiła nazwę fundacyi Jana Maciąga. W razie nakoniec niemożności zupełnej by się podobna utrzymała fundacyja, kapitał na nią legowany przejść ma do prawych zmarłego spadkobierców.

Akt ten cały równie jak i testament, napisane są z taką prostotą, z taką rzecby można naiwną serdecznością, iż prawdziwie wzbudzają uszanowanie dla męża który je pisał, i którego cały żywot, cichy, prawy, pracowity, a skromny odbija się w każdem niemal słowie a mianowicie w tej myśli poczciwej a praktycznej która nim kierowała. W testamencie cóż praktyczniejszego nad ten punkt, w którym on wszystkim krewnym swoim zapisuje po 600 złr. Na pozór wydawałoby że dając 20000 złr. na fundacyą skąpo bardzo obdarza najbliższych swoich; lecz zdaniem naszem, jest to dowód wielkiej znajomości usposobienia naszych włościan. Dając włościaninowi do pracy przyzwyczajonemu 600 ryńskich pomaga mu niepospolicie, ale nie odrywa do stanu do którego przywykł, i w którym mu zostać przy jego wykształceniu najstosowniej, gdy tymczasem legując mu większy majątek, mógłby go właśnie unieszczęśliwić, rzucając go nagle w stanowisko nowe, tak różne od poprzedniczego, tylu powodom zepsucia podległe, któremu by łatwo podołać nie mógł.

Jednem słowem tak testamentem jak i fundacyą Jan Maciąg okazał się człowiekiem, i z serca i głowy, którego z chlubą policzyć można do rzędu ludzi zasłużonych. Cześć jego pamięci!!!...

* Pomimo usilnych starań naszych spóźniają się przesyłki rycin mód z Paryża. Dotąd dopiero dwie otrzymaliśmy. Z tych pierwszą rozesłaliśmy tym prenumeratorom, którzy się przed 8mym stycznia abonowali, druga zamówiona po nowym roku wystarczyła i dla tych co ryciny przed 20. stycznia zamówili. Trzecia która w tych dniach nadejdzie wraz z czwartą, wystarczy już dla wszystkich abonentów, również wraz z trzecią przesyłką otrzymają zaległe i ci, dla których z pierwszej i z drugiej nie wystarczyło.

Przyjechali od dnia 12. do 14. Marca do Lwowa.

PP. Padlewski Stefan, ze Złoczowa. Orłowski Oktawian, z Tłustego. Lityński Wenanty, z Litwinowa. Jaruntowski Jan, z Hermanowic Krasucki Aleksander, z Mostów małych. Wierzchowski Antoni, ze Zaszkowa. Szczepański Władysław, z Wiśniowczyka.

PP. Poten Fryderyk, z Łachodowa. Janiszewski Ignacy, ze Żurawna. Grochowski Feliks. z Lelechówki. Kęplicz Marceli, ze Smolny. Brunicki Julian, br. z Podhorec. Walewski Aleksander, ze Kłodna. Zamojski Adam, hr. z Ohładowa. Podlewski Aleksander, z Dołhego.

Wyjechali od dnia 12. do 14. Marca ze Lwowa:

PP. Torosiewicz Michał, do Połtwi. Mierzyński Rafał, do Baryłowa. Szymanowski Szymon, do Spassowa. Komorowski Ignacy, do Żółkwi. Korzeniowski Aleksander. do Machnowa. Komarnicki Jan, do Magierowa.

PP. Niezabitowski Kwiryn, do Płuchowa. Szczepański Władysław, do Wiśniowczyka. Kraiński Edward, do Husiatyna. Lanckoroński Teodor, hr. do Poddubiec. Stojowski Eugieniusz, do Stanisławowa. Gorajski Aleksander, do Stanisławowa.

Lwów, 14. Marca. Na dzisiejszym targu płacono korzec pszenicy ozimej po 32 złr. — kr. do 37 złr. 50 kr. — Żyta po 26 złr. — kr. do 28 złr. — kr. Jeczmienia po — złr. — kr. do — złr. — kr. Owsa po 16 złr. — kr. do 19 złr. — kr. Grochu po — złr. — kr do — złr. — kr. Hreczki po — złr. — kr. do — złr. — kr.— Ziemniaków po 12 złr. 30 do 15 złr. 5 kr. Sąg drzewa bukowego 32 złr. 30 kr. do 37 złr. 30 kr. Sosnowego po — złr. — kr. do 28 złr. w.w. Cetnar siana 5 złr. — kr. do 5 złr. 25 kr. Centnar słomy 3 złr. 20 kr. do 3 złr. 30 kr. w. w. Garniec 30 stopniowej okowity bez opłaty 4 Złr. 15 kr. do 4 złr. 22 kr. w. w.

Kurs telegrafowany z Wiednia 14. b. m. o g. 2. po połud

Augsburg za 100 złr. .	$125\frac{1}{3}$	Pożyczka 5% $82\frac{15}{16}$ 4½	$72\frac{1}{4}$
Hamburg za 100 tal. banco	92	Akcye banku	1017
Londyn za 1 funt szterl.,	12 13	Kolej północna	—
Medyolan za 300 lirów	—	Obl. ind.	$72\frac{3}{4}$
Paryż za 300 franków .	$146\frac{1}{2}$	Nowa pożyczka z loteryą	$105\frac{15}{16}$
Agio duk. ces.	$30\frac{1}{4}$	Pożyczka narodowa . .	$86\frac{1}{4}$

Wczorajszy **Kurs Lwowski**

	Gotówką				towarem.			
Dukat holenderski	złr.	5	kr.	45	złr.	5	kr.	50
Dukat cesarski	«	5	»	50	»	5	«	53
Półimperyał zł. rosyjski	«	10	«	—	»	10	«	5
Rubel srebrny rosyjski	»	1	«	56	«	1	»	58
Talar pruski	»	1	«	52	»	1	«	56
Polski kurant i pięciozłotówka . . .	»	1	«	25	»	1	«	26
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	»	93	«	30	»	94	«	—
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu		74	»	20	»	74	»	50
5 proc. pożyczka narodowa		85	»	20	»	86	«	—

Do dzisiejszego numeru dołączone są listy zwrotne prenumeracyjne.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**